

WITOLD DWORAKOWSKI

OPERACJA „CASABLANCA”



PROLOG

Galeon wyglądał jak statek widmo, jeden z tych, którymi straszą tawerniane opowieści. Po pokładzie nie snuły się co prawda żadne zjawy czy demoniczne istoty, ludzi jednak też brakowało. Po zniszczeniach widać było, że jednostka przeszła przez piekło. Spoglądając na przechylony w przód, zbyt głęboko zanurzony kadłub, na dwa ocalałe maszty i powiewające na nich strzepy żagli, konkwistador Ignatio Mendez nie mógł się pozbyć złych przeczuc.

Ale pokusa była silniejsza. Jeśli galeon wracał z Nowego Świata, to na pewno po brzegi wypełniały go łupy zdobyte na Indianach. Jeśli coś stało się załodze, należało jej pomóc. Jeśli zginęła – dowiedzieć się dlaczego, a przy okazji rozszabrować, co się da.

Gdy kapitan „Madrida” zarządził utworzenie oddziału zwiadowczego, Mendez pierwszy wyrwał się na ochotnika. Wnet dołączyło do niego trzech innych konkwistadorów. Listę osobową zamknęła dwójka marynarzy. Wszyscy cieszyli się na urozmaicenie półtoramiesięcznej monotonii, na jaką byli skazani w swej podróży to Ameryki. Nie przyszło im do głowy, że będą żałować tej decyzji do końca życia.

Czyli jeszcze przez trzy dni.

Galeon nazywał się „Santa Margaret” i z bliska wyglądał jeszcze gorzej. Brak desek w burtach. Połamany reling. Pozrywane liny i część want. Krzywo wiszące reje. Przechodząc z szalupy na pokład, zwiadowcy obawiali się, że lada moment coś spadnie im na głowę.

Pomijając szum oceanu i trzeszczenie kadłuba, panowała cisza. Żadnych odgłosów napraw. Żadnych rozmów ani śmiechów. Żadnych kroków. Zupełnie jakby cała załoga uciekła.

Znikła. Albo umarła co do marynarza.

Mendez podzielił zwiadowców na dwie grupy. Dwóch konkwistadorów i marynarz ruszyli na poszukiwania kapitana i dziennika okrętowego. Ignatio dowodził drugą grupą. Ruszyli pod pokład. Jeśli trafią na żywe dusze, będzie dobrze. Jeśli na nieprzebrane bogactwa w ładowni – dużo, dużo lepiej. Co prawda wówczas załoga „Santa Margaret” będzie stanowić pewien problem, ale przecież można ponegocjować. Na przykład za pomocą boni.

Wyglądało jednak na to, że negocjacje nie będą potrzebne. Na pokładzie działowym Ignatio znalazł trupa.

Ścisłej rzecz ujmując, wyczuł go, będąc jeszcze na zejściówce. Kwaśny smród rzygowin, charakterystyczny odór szczywn i nieumytego ciała... Ręce, twarz i pierś denata pokrywało coś, co przypominało objawy dżumy: połacie strupów i gnijącego mięsa, spomiędzy których jeszcze niedawno musiała wypływać ropa.

Nieopodal leżały dwa kolejne ciała. Z identycznymi wykwintami choroby. Złe przeczucia uparcie nie chciały zniknąć. Co tu się, do diabła, stało? Mendez ruszył w stronę dzioba, gdzie powinien znaleźć kwatery załogi. I, być może, odpowiedzi.

Im bliżej był celu, tym większy czuł smród. Odór choroby i ludzkich wydzielin wydawał się przesycać drewno, korytarz, cały kadłub. Tak nie cuchnęły nawet statki wyładowane niewolnikami. Na dodatek do poskrzypywań i trzeszczenia „Santa Margaret” dołączyły nowe odgłosy. Pojękiwania. Bełkot. Niskie, cierpiętnicze wycie. Złe przeczucia podążały za zwiadowcami krok w krok.

Pod kwaterą smród wręcz urywał nos. Drzwi były zamknięte. Mendez naparł na nie raz i drugi, aż puścił zamek. Poprawił kopniakiem. Zatkał nos i wsunął się do środka.

Miał wrażenie, że zwymiotuje od tego widoku. Podświadomie spodziewał się jakichś okropieństw. Ale nie aż takich.

Na stole, na ławach, na kojach i podłodze – dosłownie wszędzie zalegały trupy. Ich skórę pokrywały ciemne plamy, zupełnie jak u ludzi z pokładu działowego, a wiele z tych śladów wyglądało na przypiekane. Czyżby w ten sposób walczyli z chorobą? Odkazując ciało rozpalonym żelazem?

Obok drzwi leżał mężczyzna. Spodnie lepiły mu się do

nóg, cuchnące od wymiocin i ekskrementów. Całą twarz miał w czymś, co przypominało liszaje. Z ust ciekła mu ślina. Wodził wokół mętnym wzrokiem. Raz po raz jęczał, mamrotał coś niezrozumiale. Jemu też przeznaczona była śmierć.

Mendez zapragnął uciec jak najdalej stąd. Wycofał się z pomieszczenia do dwójki swych towarzyszy. Ładownia, powtarzał w duchu. Ładownia i skarb. Szukaj. Szukaj i uciekaj.

W głębi statku było niewiele lepiej. Mijali klitki, z których buchał smród. Mijali kolejne ofiary zarazy. Ci, którzy jeszcze trzymali się przy życiu, mamrotały półprzytomnie: coś o złocie, o Bogu, o jakiejś klątwie. „Santa Margaret” nie była statkiem-widmo. Była piekłem.

A na dodatek przeciekała. Spomiędzy desek burt tryskała woda, na niższych pokładach można było pływać, i zwiadowcy zawahali się, czy nie zawrócić. W końcu jednak dotarli do ładowni, a właściwie tej jej części, której jeszcze nie zalało. I faktycznie znaleźli złoto.

W ilości, która przekraczała najśmielsze wyobrażenia.

Góry lśniących sztab, odlanych jeszcze przed wypłynięciem z portu w Nowym Świecie. Kufry pełne monet. Kielichy wysadzone kamieniami szlachetnymi, wewnątrz których lśniły złote ozdoby i biżuteria. Złote wazy. Złote posążki o twarzach jak z najgorszego snu. Złote naszyjniki. Złote bransolety. Cztery długie tuby barwy srebra, oparte o ścianę pomieszczenia. Fortuna. Ten przeklęty statek wiózł łup, o jakim marzył każdy zdobywca.

Zwiadowcy już, już mieli się rzucić do upychania skarbów po kieszeniach, kiedy nagle Mendez krzyknął, by nikt się nie ruszał. W głębi ładowni dostrzegł trzy ciała. Palce, dłonie i przedramiona miały całkowicie czarne.

Kłątwa. Tylko to słowo nasuwało się na myśl.

Tego było już za wiele. Niech kto inny bierze sobie to przekłete złoto! Zwiadowcy uciekli na główny pokład. Dołączyli do towarzyszy, którzy już czekali w szalupie. Jeden z nich trzymał niewielki zeszyt. Pozostała dwójka przeliczała właśnie złote monety.

Niebawem „Santa Margaret” stanowiła tylko punkt na horyzoncie. Jedynym świadectwem jej tragedii był dziennik okrę-

towy zabrany z kwatery martwego kapitana.

Andrzej Woźniak wzdrygnął się na wspomnienie tej historii.

Wstał zza biurka i się przeciągnął. Na szczęście śmierć marynarzy z „Santa Margaret” była tylko nic nie znaczącym epizodem. Przez następnych pięćset lat nie natrafiono na ślad statku-widmo. Z jednej strony szkoda – wyroby, które zrabowano Indianom i wysłano do Hiszpanii, mogłyby sporo powiedzieć o rzemiośle prekolumbijskich złotników. Logika podpowiadała jednak, że dobrze się stało. W końcu wraz z galeonem zapadła i tajemnicza choroba. Ostatnimi jej ofiarami byli zwiadowcy z „Madrida” – zmarli w straszliwych męczarniach trzy dni po powrocie.

Zgadkę stanowił fakt, że zginęli tylko oni. Pozostali marynarze i konkwistadorzy cieszyli się zdrowiem przez resztę rejsu. Część z nich umarła dopiero później: w amerykańskich puszczech, w walkach z Indianami albo z sobie podobnymi. Nieliczni wrócili do domu w jednym kawałku. Przeważnie biedni jak myszy kościelne, ale jednak.

Cóż. Nie na wszystkim da się zarobić, stwierdził w duchu Andrzej. I zaraz skonstatował, że gdy pół roku temu dowiedział się o historii Mendeza, zachowywał się niewiele lepiej. Zwłaszcza gdy dorwał dokumenty z tamtego rejsu. W oczy rzucił mu się wtedy fragment listu kapitana „Madrida” do swoich zwierzchników.

...wedle odnalezionego dziennika, na „Santa Margaret” klątwa została rzucona. Pogańscy bożkowie rozkazali, ażeby każdego grzesznika, co bluźni przeciwko nim, dosięgło cierpienie zarówno w świecie doczesnym, jak też w zaświatach. Cierpienie tak straszliwe, iż nie sposób sobie tego imaginować. Owszem, wedle Kościoła Świętego i logiki wszelakiej jest to zabobon. Ale jakże inaczej wytłumaczyć plagę, jaka opanowała galeon? Plagę, jaka uderzyła w niego tuż po załadunku i wypłynięciu w rejs powrotny?

Woźniak długo śledził ścieżki, którymi na przestrzeni wieków wędrował dziennik „Santa Margaret”. Teraz zeszyty o po-

żółkłych kartkach leżało u niego na biurku. Andrzej znów pochylił się nad tekstem. Końcowe wpisy mówiły o rozwoju choroby wśród załogi. Wraz z upływem czasu stawały się one coraz krótsze i bardziej lakoniczne, a kreślone litery mniej czytelne.

Ostatnia notatka nosiła datę piętnastego sierpnia 1537 roku i składała się z jednego zdania.

Boże, dopomóż.

Cztery dni później zjawił się „Madrid”.

Andrzej przetarł oczy i zerknął na zegarek. Trzecia w nocy. A mógłby przysiąc, że jest dopiero wczesny wieczór. Cóż. Przynajmniej nikt mu nie przerywał – ani telefon, ani komunikator internetowy, ani ta stara jęzda z mieszkania obok.

Otworzył okno i odetchnął ciężkim od spalin powietrzem. Wpatrzył się w światła okolicznych kamienic, wsłuchał w wycie syren karetok i radiowozów. Wrocław. Nie znosił tego miasta. Marzył, by stąd uciec i zaszyć się gdzieś w tropikach, na drugim końcu świata, z dala od wszystkich problemów. Na razie jednak nie widział na to szans.

Zastanowił się, gdzie może spoczywać „Santa Margaret”. Załoga „Madrida” niedokładnie określiła jej pozycję – około dwustu pięćdziesięciu mil na północny zachód od wyspy Abaco na Bahamach. Zlokalizowanie galeonu byłoby koszmarnie trudne, tym bardziej że przed zatonięciem mógł jeszcze długo dryfować z prądem.

Ale podjęcie poszukiwań kusiło. W ładowniach wraku zalegała przecież olbrzymia ilość złota i indiańskich precjozów. Woźniak znał paru archeologów, którzy sprzedaliby własną matkę, byleby tylko zbadać podobne znalezisko. I nie tylko zbadać. Niejednokrotnie słyszał pogłoski o tajemniczych zaginięciach artefaktów i równie tajemniczych sumach, jakie w tym samym czasie pojawiały się na kontach pewnych naukowców.

Uśmiechnął się ironicznie. Gdyby mu się poszczęściło, nie musiałby pracować w księgowości podrzędnej firmy. Niestety, sprzedaż dziennika nie przyniosłaby mu bogactwa. Zapiski nie przedstawiały żadnej wartości. Chyba tylko dlatego zeszyt nie trafił do kolekcji jakiegoś zbieracza antyków.

Wszedł do łazienki, starając się nie patrzeć w lustro. Nie lubił swojego widoku: ani okrągłej twarzy, ani pełnych policzków, ani

oczu barwy chłodnego błękitu, ani wiecznie najeżonych blond włosów. Zwłaszcza włosów – nigdy nie mógł dojść z nimi do ładu. No i nadwaga od stresu i braku ruchu. I jeszcze ta zarwana noc. Minus dziesięć do wyglądu. Należałoby rozwiesić wszędzie kartki z napisem „Andrzej, cholera, weź się w końcu za siebie!” – ale Woźniak nie miał tyle papieru.

Ciekawe, co porabia Sidney, pomyślał. Prawie skakał z radości, kiedy dostał ostatnią znaną pozycję galeonu, ale chyba już się znudził tymi poszukiwaniami. W sumie nie byłoby to nic zaskakującego. Morze zabrało sobie ten cholerny skarb, trzyma i nie odda. A cała wyprawa tego wariata nie...

Nagle rozdzwoniła się komórka.

Andrzej zazgrzytał zębami. Serio? O tej porze? Kto, do cholery, i co on sobie, psiakrew, myśli? Lada chwila obudzi tę wariatkę z sąsiedztwa i zacznie się łomotanie w ścianę. Przypadł do telefonu. Odebrał, nawet nie patrząc, kto dzwoni.

– Czy to nie może poczekać do rana? – jęknął w mikrofon.
– Jest środek nocy!

– Andrzej, znaleźliśmy ją.

Znieruchomiał zaskoczony. Znał ten głos.

– Sid... Sidney? – wykrztusił. – Co powiedziałaś? Co znaleźliście?

– „Santa Margaret”. Zawartość ładowni. Furę złota.

Niemożliwe, pomyślał Woźniak. Niesamowite. Ten skurczybyk znowu wygrał!

W tej samej chwili, zgodnie z przewidywaniami, sąsiadka zaczęła łomotać w ścianę. Zignorował ją.

– Nie ruszaj się stamtąd – rzucił do słuchawki. – Cholera, siedź na miejscu, już do ciebie lecę!

– Tak sobie patrzę na dystans między Wrocławiem a Miami i mam wrażenie, że trochę sobie poczekam – zaśmiał się Sidney.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Zanim cokolwiek sprzedasz, chcę to obejrzeć. I skatalogować.

– Skatalogować? Litości, jesteś historykiem-amatorem, nie archeologiem. Po co ci to?

– Jeśli ta fura złota zawiera choć jeden obiekt o szczególnej wartości historycznej, oddam go pod lupę specjalistów. To mój pieprzony obowiązek, jasne? Nie dopuszczę, żeby trafił do sejfów

jakiegoś bogatego drania, któremu sprzedasz ten towar. Zresztą, co cię to obchodzi? To ja ci powiedziałem, że ten statek w ogóle istnieje. Coś mi się za to należy.

Chwila ciszy wystarczyła za odpowiedź. Pewnie puścił cynk w Internecie i do tej pory dostał zamówienie na cały skarb. Typowe.

– Jak będziesz się pakował, weź ze sobą dziennik okrętowy „Margaret” – powiedział Sidney.

– Po co? Na niego też znalazłeś kupca?

Prychnięcie.

– Odkryłem coś szalenie ciekawego – odparł. Z jego głosu nagle zniknęła cała wesołość.

– O? Niby jak bardzo szalenie?

– Tak szalenie, że wyszło poza skalę. Wiem, co zabiło marynarzy.

Woźniak uniósł brwi. Tego się nie spodziewał. To gonitwa za skarbem nie przyćmiła mu reszty wątków?

– A mianowicie?

– Później – rzucił Sidney. – Na miejscu. To nie jest temat na telefon, Andy. Ale mogę ci powiedzieć jedno: jeśli mam rację, a dziennik nie kłamie, właśnie natknęliśmy się na tajemnicę o gigantycznym kalibrze.

Rozłączył się.

Niedługo później sąsiadka przestała hałasować.

Woźniak podrapał się po głowie. Sid, cholera, o co ci chodzi? – pomyślał, wędrując wzdłuż ścian pokoju. Odkrycie? Wielka tajemnica? Czyżby wrak „Santa Margaret” skrywał coś więcej niż sam skarb? Dlaczego Sidney dał znać o znalezisku w środku nocy i zdradził tak niewiele?

Istniała tylko jedna droga do odpowiedzi. Andrzej wpadł do sypialni, włączył monitor komputera i wyszukał w Internecie połączenia lotnicze do Miami.

ROZDZIAŁ 1

ZNALEZISKO

Woźniak padał z nóg. Latał czasem za granicę, ale ten dystans to była już przesada. Wciskanie się do ciasnego samolotu. Dwa-naście potwornie nudnych godzin, spędzonych na wierceniu się w fotelu i podziwianiu widoków. Zmiana klimatu – z chłodnego Wrocławia prosto do sześciomilionowej metropolii, gdzie każdy metr kwadratowy asfaltu skwierczał od upału, a powietrze wibrowało od huku samochodów i łomotu urządzeń klimatyzacyjnych. Najgorsza była jednak zmiana strefy czasowej. Zegar biologiczny domagał się popołudniowej drzemki, a tutaj ledwo wybiła dziesiąta.

Jazzowa muzyka, sącząca się z radia taksówki, potęgowała senność.

Przeciągnął się na tylnej kanapie. Za oknami migały wieżowce i chodniki, ciągnęły się sznury zaparkowanych wozów. Gdzieś dostrzegł skwery i palmowe drzewa, wyrastające rzędami po bokach szosy. Nie zwracał na nie jakiejś szczególnie uwagi. Przyleciał tu w innym celu.

Od czasu nocnej rozmowy minęły trzy dni, podczas których uporał się z nawałem pilnych i mniej pilnych spraw. Nie miał pojęcia, kiedy wróci do Polski – za tydzień, miesiąc, może za pół roku, w zależności od tego, co odkrył jego przyjaciel. Przez lata znajomości zdążył się przekonać, że Sidney Wolf to człowiek, który potrafi zaskakiwać. Nie zawsze pozytywnie, ale jednak.

Jedyną wiadomością, jaką dostał po tamtej wymianie zdań, był e-mail o treści: „Miami, Dodge Island, port towarowy, terminal 1, dok 110”. W załączeniu znajdowało się kilkanaście fotografii. Przedstawiały złotą biżuterię, naczynia i posążki bóstw, które na pewno pochodziły z czasów, gdy Kolumb biegał po rodzinnym mieście z innymi zasmarkanymi dzieciakami.

Woźniak nie popierał łowców skarbów. Mieli w zwyczaju iść

na noże z instytucjami ochrony zabytków, za to handel precjozami na czarnym rynku przychodził im zdumiewająco łatwo. Sidney Wolf zachowywał balans między jednym a drugim podejściem. Złoty Środek można by uznać za jego czwarte imię – zaraz po Wariacie i Śliskim Sidzie.

Taksówka jechała teraz po moście łączącym wybrzeże z Dodge Island. Dało się stąd dostrzec dużą część Miami: rozpartego wzdłuż wybrzeża molocha, który napierał na niebo dziesiątkami klockowatych wieżowców. Andrzej nigdy nie przepadał za tego typu zabudową. Wśród zawrotnie wysokich wież, błyszczących odbitym światłem nad potokami samochodów, czuł się tak żałośnie drobny – w przeciwieństwie do Sidneya, dla którego było to środowisko naturalne.

Mieszkał w Stanach od urodzenia. Był potomkiem imigrantów, którzy tuż przed drugą wojną światową wyjechali z Polski. Po przodkach odziedziczył żyłkę do interesów, logistyki i zawierania kontaktów – firmę Wolf Search Limited zbudował sam od podstaw i sprawił, że z miejsca zaczęła przynosić zyski. „Casablanca” stanowiła najlepsze świadectwo tego sukcesu.

– ...środa, dwudziesty trzeci maja dwa tysiące osiemnastego roku – rozległo się w głośnikach taksówki. – Dwanaście osób zginęło w ataku na tankowiec „PanArabia”, należący do firmy Saudi Aramco. Wszystkie ofiary to członkowie załogi tankowca i wynajęta przez nich ochrona. Somalijscy piraci przeprowadzili zmasowany ostrzał i usiłowali dokonać abordażu. Zostali odparci. Teraz ściga ich okręt francuskiej Marynarki Wojennej „La Fayette”. Przebieg operacji możecie państwo śledzić na naszej stronie internetowej...

– Piraci, niech ich ciężka cholera weźmie – mruknął taksówkarz, barczysty facet o łysej głowie. – Ile to jeszcze potrwa, powie mi pan? Te porwania tankowców, gazowców, wszystkiego, co pływa po tych cholernych morzach. Ceny skaczą przez to jak szalone. Wybić ich to za mało. Ich trzeba powiesić i pokazywać publicznie we wszystkich portach.

Właśnie, piraci – westchnął w duchu Andrzej. Takie ISIS, tylko na morzu. To głównie z ich powodu unikał eskapad Sidneya. Nie miał zamiaru dać się zastrzelić przy pierwszym lep-

szym abordażu.

– Gdyby NATO nie spieprzyło ataku na Somalię, może by ich powiesili – odparł po angielsku, uśmiechając się ironicznie.

– Byłoby w tym coś z ducha minionych epok.

– Nie za szyję powiesili. Za jaja.

Wysiadł przy jednym z pomostów, przy których cumowały transatlantyki i wielkie wycieczkowce. Rząd statków ciągnął się wzdłuż nabrzeża jak miniaturowe miasto. Długie i wysokie jednostki o burtach oznaczonych setkami okien przypominały smukłe wieżowce, którym ktoś kazał się położyć, pływać i przynosić krociowe zyski.

Dodge Island dzieliła się na dwie części. W pierwszej, turystycznej, ludzie krzątali się między statkami a nabrzeżem, rozglądali się, robili zdjęcia, szukali taksówek... Niektórzy siedzieli na walizkach w oczekiwaniu na rejs, inni lekkim krokiem schodzili z trapów. Harmider był tylko trochę mniejszy niż w mieście i Andrzeja znów zaczęła boleć głowa.

Zarzucił na ramię plecak, poprawił ciemne okulary, wygładził koszulę. Ruszył w stronę tej mniej zatłoczonej części portu.

Wrócił pamięcią do historii „Santa Margaret”. Zbudowana na potrzeby szybkiego transportu towarów przez Atlantyk, w swój ostatni rejs wypłynęła drugiego sierpnia 1537 roku. Według notatek kapitana Vincenta de Castillo od chwili załadunku załogę prześladował pech. W knajpianej burdzie zginął dowódca oddziału konkwistadorów, którzy wracali do Hiszpanii w chwale i z wypchanymi sakwami. Tej samej nocy zabito pierwszego oficera – jego ciało znalazło się dopiero późnym popołudniem. Morderstwo wyglądało na zemstę, tym bardziej że oficer miał na pieńku z miejscowym półświatkiem.

Cztery dni po wypłynięciu galeon natknął się na wyspę, której nie było na żadnych mapach. Należało ją zająć w imieniu króla Hiszpanii, a następnie zbadać i ewentualnie ograbić. Tym ostatnim mieli się zająć konkwistadorzy – ich doświadczenie w rabowaniu tubylców robiło wrażenie.

Na lądzie nie znaleźli żywej duszy. Odkryli za to coś dziwnego.

Tuż przed linią dżungli wznosił się ołtarz. Na drewnianym

rusztowaniu, otoczone dzidami i zeschniętym zielskiem, spoczywały cztery długie, srebrne tuby. Całą ich powierzchnię pokrywały tajemnicze inskrypcje podobne do tych, jakie spotykało się w świątyniach Nowego Świata. Obok konstrukcji Hiszpanie znaleźli jedenaście ludzkich szkieletów. Doszli do wniosku, że wyspa jest miejscem jakiegoś makabrycznego kultu, i postanowili zakończyć ten proceder. Rozebrali ołtarz i spalili rusztowanie, zaś broń i metalowe tuby zabrali na statek w celu późniejszej sprzedaży.

Już wtedy po „Santa Margaret” krążyły plotki, jakoby więziona przez nią ładunek był przeklęty. Ponoć to przez niego zginął pierwszy oficer i szef zdobywców. Gdy statek opuścił tajemniczą wyspę, sytuacja się nie poprawiła. Dwa dni później z masztu spadł majtek i złamał sobie kark. Część załogi zaczęła chorować. Marynarze skarżyli się na ogólne osłabienie i dezorientację, drgawki i wymioty, krwawą biegunkę. Zaraza rozprzestrzeniła się w błyskawicznym tempie. Nie oszczędziła nikogo.

Pedro, Indianin wcielony do załogi galeonu, w kółko powtarzał, że złoto z ładowni jest obłożone starożytną klątwą. Śmiałkowie, którzy przywłaszczali sobie własność bogów, mieli umrzeć w straszliwych męczarniach. Sytuacja zdawała się potwierdzać te rewelacje. Wzrosła liczba wypadków; marynarze byli coraz mniej chętni do pracy. Wkrótce większość z nich opadła z sił. Ropięjące rany i czarne plamy masowo atakowały ich ciała.

W takim stanie zaskoczył ich sztorm. Garstka najsilniejszych wilków morskich przeprowadziła galeon przez to piekło, ale potem i oni się poddali. „Santa Margaret” dryfowała z prądem niczym statek-widmo, coraz bardziej nabierając wody.

„Boże, dopomóż” – napisał przed śmiercią kapitan de Castillo. Jak na ironię tym razem to indiańskie bóstwa były górą. Andrzej prawie współczuł ofiarom klątwy.

Uśmiechnął się krzywo. Jaka klątwa? Marynarze zaczęli chorować zaraz po opuszczeniu wyspy z ołtarzem, zatem nie było wątpliwości co do przyczyny epidemii. Konkwistadorzy zawlekli na statek jakąś miejscową zarazę. Ot i cała tajemnica.

Teraz Sidney Wolf dobrał się do wraku. Po pięciu stuleciach

„przeklęty” ładunek zmienił właściciela.

Andrzeja dobiegł warkot silników. Szybko dostrzegł sznur ciężarówek, sunący między wzgórzami kontenerów.

– Ciekawe, co wieziecie – mruknął pod nosem, odprowadzając je wzrokiem. Minęły bramki bez zatrzymywania i pomknęły drogą w osi wyspy, ku szosie. Wkrótce znikły Woźniakowi z widoku.

Towarowy rejon Dodge Island w niczym nie przypominał części turystycznej. Wśród kontenerów i palet krzątali się robotnicy w zabrudzonych drelichach, co chwila klnąc, pokrzykując i poganiając się nawzajem. Przy nabrzeżu cumowały statki towarowe, głównie kontenerowce. Po prawej Andrzej zlokalizował ten, którego szukał.

„Casablanca”. Sidneyowe narzędzie do robienia pieniędzy.

Miała długość ponad siedemdziesięciu metrów i szerokość około dziesięciu. Jej pokład opadał schodkowo w kierunku rufy. Wzdłuż burt ciągnęły się wysięgniki, do których umocowane były rozmaite urządzenia badawcze: cylindryczna echosonda, podwodny robot poszukiwawczy i jego mniejszy kuzyn służący do eksploracji dna i złóż... Na tyłach „Casablanki” stała miniaturowa łódź podwodna. Wolf używał jej, by z bliska przyjrzeć się odkrytym wrakom.

Właściciel całej tej imprezy czekał u szczytu trapu i machał przyjacielowi na powitanie.

Wyglądał prawie tak samo jak dziesięć lat temu, gdy spotkali się po raz pierwszy. Rondo kowbojskiego kapelusza rzucało cień na jego pociągłą twarz, ale blizna na lewym policzku i tak była widoczna. Białą marynarkę przerzucił przez ramię, jedną rękę wepchnął w kieszeń spodni. Stał tak do czasu, aż Andrzej uściśnął mu dłoń.

– Witaj, zbóju – rzucił Woźniak. – Gdzie złoto?

– Też się cieszę, że cię widzę, grubasie – odparł z uśmiechem Wolf. Klepnął towarzysza w plecy i ruszyli w stronę nadbudówki.

– Złośliwy jak zawsze.

– A ty jesteś zgryźliwy jak zawsze. Nie mów, że moja wiadomość rozwalila jakieś twoje ważne plany... Co tak na mnie pa-

trzyś?

Płynnie mówił po polsku, aczkolwiek wymowa niektórych słów wołała o pomstę do nieba – to też nie bardzo się zmieniło przez ostatnią dekadę. Czasem Woźniak miał wrażenie, że jego przyjaciel robi to specjalnie.

– Już ty dobrze wiesz, dlaczego, Sid.

Wolf oparł się o ścianę nadbudówki i wbił wzrok w port. Ściągnął kapelusz, odsłaniając krótko ścięte czarne włosy, i zakręcił nim na palcu.

– Minąłeś się ze swoim złotem... No co? Nie rób takiej miny! Przepraszam, okej?

– Sid. Psiakrew. Ściągnąłeś mnie do obejrzenia pustej ładowni?

– „Casablanca” to nie muzeum, a mnie goniły terminy! Słuchaj, porobiliśmy od cholery zdjęć, filmów i holosymulacji. Wszystko jest w bazie danych, zaraz dam ci dostęp. Nie będziesz zawiedziony.

Andrzej zerknął na niego z ukosa. Przypomniał sobie konwój ciężarówek nadjeżdżający od strony „Casablanki”. Westchnął z rezygnacją.

– Dlaczego mnie to nie dziwi...

Przekroczyli próg nadbudówki, skręcili w odnogę korytarza i po spiralnej klatce schodowej zeszli na niższy poziom. Mijali rzędy drzwi, za którymi mieściły się magazyny, składy narzędzi i części zamiennych. Lampy dawały światło o ciepłej barwie. Za ciągami rur rysowały się cienie.

– Co słyhać tak poza tym? – zapytał naraz Andrzej.

– Stara bieda.

– Nie możesz mówić „stara bieda”. Raz, że nie jesteś w Polsce.

Dwa: ty i bieda? Bądźmy poważni. – Woźniak wyszczerzył się bezczelnie. – Silv na miejscu?

Sidney spojrzał na przyjaciela podejrzliwie.

– Jak to ona – rzekł ostrożnie. – Zatęskniłeś za wredotą?

– Wredotą? – powtórzył Andrzej jak echo. – Jak możesz tak mówić o swojej...

– Ona mówi o mnie gorzej. – Teraz to Wolf się uśmiechnął.

– Takie charaktery. Dlatego między nami gra. Cieszysz się z takiej odpowiedzi?

– Tylko trochę mniej, niż gdybyś w końcu się szarpnął na pierścionek. Najwyższy czas, Sid. Pora dorosnąć.

– Śmiało słowa jak na wiecznego kawalera – rzucił Wolf i nie czekając na kontrę, zmienił temat: – Słyszalesz o tej akcji na Oceanie Indyjskim? Piraci z wizytą na saudyjskim tankowcu. Wymiana ognia jak na wojnie.

– Obiło mi się o uszy – odparł Andrzej obojętnie. – Francuzi już ich gonią. I mam nadzieję, że rozniosą na kawałki.

– Właśnie o tę sprawę chodzi. Jest nowe info. Koniec pościgu.

– I co?

– I Francuzi dostali łomot. „La Fayette” poważnie oberwał, a piraci uciekli.

Andrzej westchnął ponownie. Cała ta chora sytuacja po prostu nie mieściła się w głowie.

– Nie boisz się, że ty będziesz następny? – zapytał. – Zapuszczasz się na najgorsze zadupia. Nie zawijasz do portu tygodniami. Wozisz w ładowniach diablo cenne przedmioty. Chyba tylko cudem nikt cię jeszcze nie okradł i nie zatopił.

Wolf podrapał się po bliźnie na policzku. Odruch niemalże bezwarunkowy.

– Ostatnio paru próbowało. Teraz szukają zębów po drugiej stronie kontynentu. Wiedzialesz, że ISIS też się bawi w piractwo?

– Myślałem, że to plotki. Co im zrobilesz?

– Ja? Nic. – Sidney zrobił minę niewiniątka. – Ale komando Hassana podjęło wyzwanie. Tylko potem ciężko było domycyć pokład.

Przeszli przez kolejną gródź i znaleźli się w obszernym gabinecie. Przy ścianie po prawej stał regał; półki uginały się pod ciężarem segregatorów, książek i pudeł z elektronicznymi nośnikami danych. Przez bulaj w lewej ścianie widać było port. Pośrodku pomieszczenia stało biurko, na nim zaś szklana piramida, klawiatura i trackball. Andrzej zagwizdał z podziwem na widok stanowiska komputerowego.

– Holomonitor? – spytał, patrząc na piramidę. – Myślałem, że takie zabawki kosztują fortunę.

– Ostatnio wymieniłem trochę sprzętu. – Sidney ruszył kulką trackballa i monitor ożył. Wewnątrz czworościanu pojawiła się

trójwymiarowa projekcja „Casablanki”. Obraz wideo, generowany przez cztery projektory, był rzutowany na przezroczyste ściany urządzenia. Wyraźne detale, poprawnie odwzorowane kolory... Odnosiło się wrażenie, że w gabinecie zawisła miniaturowa kopia statku.

Wolf zakręcił trackballem, przebiegł palcami po klawiaturze. Model zniknął, zastąpiony holograficznymi zdjęciami.

Gdyby nie bariera ścian piramidy, Andrzej wziąłby projekcję za prawdziwy posążek. Zawsze imponował mu kunszt, z jakim prekolumbijscy złotnicy tworzyli swoje wyroby. Zastanowił się, jaką cenę uzyskalaby figurka na czarnym rynku.

– Ile tego masz? – zapytał.

– Siedem katalogów po kilkaset holofotografii i filmów, w tym szczegółowe zdjęcia wraku „Santa Margaret”. Będziesz miał co przeglądać.

– Substytut.

– Zupełnie jak twoja wypłata. Sprawdzaleś konto, zanim poleciałeś?

– Ech ty... – westchnął ciężko Andrzej. – Tak. Sprawdzalem. I chyba tylko dlatego nie szukasz zębów na Hawajach. Niechaj klątwa nałożona na ten skarb spadnie na nowego właściciela, a szczury zjedzą jego gnijące wnętrzności! A ty, który rozkopujesz groby i plądrujesz wraki...

– Uważaj, bo wykraczesz – zaśmiał się Sidney. – Ale skoro już przy tym jesteśmy, mam do ciebie pytanie.

– Wal.

– Jak myślisz, co zabiło marynarzy? Klątwa ładunku? Sabotaż? Coś innego?

– Zdecydowanie jakieś choróbsko. Złapali je jeszcze w porcie albo, co bardziej prawdopodobne, po lądowaniu na wyspie z ołtarzem. Konkwistadorzy znaleźli trupy, pamiętasz? To pewnie szczątki tubylców, których zabił ten sam mikrob.

– A jeśli nie?

– Chyba nie wierzysz w klątwę pogańskich bóstw? – Woźniak nachylił się nad hologramem. – No chyba że ukradkiem wymiotujesz, a pod ubraniem ukrywasz ropiejące plamy... Chciałbym zobaczyć wrak. Możesz go wyświetlić?

– W centrum operacyjnym mam lepszy monitor. Chodźmy.

Wyszli z gabinetu i innym korytarzem ruszyli w stronę rufy.

Teraz znajdowali się w sekcji z kwaterami mieszkalnymi. Mijali rzędy drzwi. Zza niektórych dochodziły echa rozmów i śmiechy. Załoga „Casablanki” zawsze liczyła czterdzieści kilka osób: mechaników, techników robotów głębinowych, medyków, kucharzy, a nawet komando najemników do ochrony. Najwyraźniej spora część załogi wzięła sobie wolne. Reszta rozrywała się we własnym gronie bądź siedziała w Internecie.

Sidney zapukał do drzwi jednej z kabin. Odpowiedziało mu metaliczne echo i nic więcej.

– Pewnie siedzi przed ekranem i przegląda zdjęcia skarbu – uznał.

– Kto taki?

– Nasz nowy nabytek, specjalistka od starożytnych języków. Pół roku temu próbowała się wprosić do mojego zespołu. Po prostu nie miałem serca jej odmówić.

– Ładny chociaż ten nabytek? Głupie pytanie, oczywiście, że ładny. Pewnie właśnie uroda cię skusiła, co?

Wolf parsknął śmiechem.

– Nie uroda, tylko zobowiązania. Miałem u jej ojca pewien dług i wypadało go w końcu spłacić. Oraz: tak, jest dość ładna.

– Jest taki przesąd, że kobieta na pokładzie równa się niebezpieczeństwu – stwierdził prowokacyjnie Andrzej.

– Wyszło mi, że dostaniesz dwanaście ciosów w zęby, po jednym od każdej. – Sidney pstryknął palcami. – Nie, czekaj, czternaście. Bestyjkę i Silv liczymy podwójnie.

– Będę miał na uwadze.

– Miej. Oszczędzisz na dentyście.

– To kiedy ślub?

– Albo i nie oszczędzisz. – Wolf uśmiechnął się wrednie.

Andrzej aż się skrzywił.

– No co? – rzucił, rozkładając ręce. – Sid, serio. Normalny związek nie zrukuje ci życia. Nie zatopi statku. Myślałeś kiedyś, co o tym wszystkim pomyśli Agnes? No? Przyjdzie kiedyś do was i zacznie zadawać kłopotliwe pytania. Na przykład takie: „Dlaczego wujka Andy’ego znam lepiej niż własnego ojca?”

Sidney wciągnął powietrze w płuca. Powoli. Teraz chyba za-
bolało.

– Po pierwsze – rzekł z irytacją – ona tak nie mówi. Po drugie: załatwiamy papierologię. Stopniowo. Zajmij sobie głowę czym innym, dobrze ci radzę. Na przykład twoją seksistowską teorią o damskim nośniku katastrof. Jak to zgrasz z faktem, że „Madrydem” nie płynęła żadna kobieta?

Andrzej spojrział z ukosa na przyjaciela.

– Wirusom wszystko jedno, kogo infekują.

– Więc jak wytłumaczysz los marynarzy? Tych, co robili zwiad na „Santa Margaret”? Zmarli z objawami tej samej choroby co ludzie z „Margaret”. Skoro nasz wirus położył całą załogę galeonu, dlaczego nie zainfekował wszystkich na drugiej jednostce? „Madrid” szczęśliwie dopłynął do Ameryki. Choroba zaatakowała tylko tych, którzy stanęli na przeklętych deskach przeklętego statku i weszli w kontakt z przeklętym ładunkiem.

Woźniak wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Nie jestem biologiem. Ale jeśli nie choroba, to pasożyty. Wniknęły w ciała marynarzy i wywołały ogólnoustrojowy szok, który zakończył się zgonem. Albo zabiła ich jakaś toksyna, z którą tylko oni mieli styczność. Istnieje sporo możliwych rozwiązań, ale jeśli ty masz pewność co do klątwy, to proszę bardzo, wykrzycz to na cały świat. Naprawdę ściągnąłeś mnie tylko po to, żebym cię wyśmiał?

Sidney klepnął przyjaciela w plecy.

Po spiralnej klatce schodowej wspięli się na wyższy poziom. Weszli do centrum operacyjnego: dużego pomieszczenia z mnóstwem monitorów i pulpity sterowniczych, które podczas poszukiwań stawało się sercem „Casablanki”. Ściany były zastawione stanowiskami komputerowymi. Na części konsol dało się dostrzec dżojstiki, dźwignie i skomplikowane czytniki.

Pośrodku pomieszczenia wznosił się stelaż. Owinięty węzłowiskiem kabli, stabilizował kolejny holoe ekran: przezroczystą piramidę o szerokości trzech metrów.

– Nie zastanawiałeś się może nad ozdobieniem tej salki hieroglifami? – spytał Andrzej, uśmiechając się szeroko.

– Może kiedyś.

– Tylko nie nawieźcie mi tu piasku, bo zabiję – wtrącił po polsku ktoś trzeci.

Dopiero teraz Woźniak spostrzegł, że nie są sami. Od jednego ze stanowisk wstała kobieta. Była smukła i niewysoka, brązowe włosy opadały jej do ramion. Ściągnęła z nosa okulary i uśmiechnęła się. To był naprawdę uroczy uśmiech – nic dziwnego, że Sidney dał się na niego złapać.

– Justyna Sznajder – przedstawił ją Wolf. – Odwaliła kawał dobrej roboty przy badaniach naszego znaleziska.

Uścisnęła Andrzejowi dłoń.

– Założę się, że stworzymy świetny zespół – powiedziała.

Woźniak uniósł brew.

– Zespół? – Zerknął na przyjaciela z ukosa. – O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

– O tym za chwilę. – Wolf wybrał kombinację klawiszy na jednym z pulpity. – Na razie wrak.

Kilka sekund później pośrodku pomieszczenia zawisła „Santa Margaret”.

W niczym nie przypominała dumnego galeonu, jakim była przed laty. Z oceanicznego dna, na podobieństwo żeber zdechłego zwierzęcia, sterczały wręgi i resztki burt. Z pozostałości pokładu wystawał kikut masztu. Bukszpryt gdzieś zniknął, strzaskany galion pokrywała warstwa glonów i morskich organizmów. Podobne narośle były zresztą wszędzie: w każdej szczelinie między deskami, na fragmentach podłóg i ścian, na schodach i drzwiach, w schowkach...

– Tak wyglądała, kiedy wysłaliśmy do niej „Jeździec” – powiedziała Justyna. – „Jeździec” to nasz robot do eksploracji wraków. Na podstawie fotografii, filmów, warunków środowiskowych, rozkładu prądów oceanicznych i innych parametrów program analityczny zmontował tę projekcję. Rewelacyjny przewodnik po znalezisku. Symulacje mogą z dużym prawdopodobieństwem określić, w którym miejscu zatonała „Margaret”, jak daleko zniósł ją prąd, pod jakim kątem uderzyła w dno. Wystarczy wybrać odpowiednią warstwę danych.

– A teraz skupmy się na przekłętym ładunku – rzekł Sidney. Rejon ładowni powiększył się i wyostrzył.

Andrzej rozmyślał nad celem tej szopki. Wolf nie zwykł owijać w bawełnę. Jeśli coś znalazł, informował o tym. Jeśli chciał się pochwalić, robił to, ale nie ściągał w tym celu ludzi

z drugiego końca świata. O co mu, do diabła, chodziło?

Obok kadru wyświetliło się okno z filmem, który nagrały kamery „Jeźdźca”, gdy ten wpływał coraz głębiej w trzewia wraku. Promienie reflektorów ślizgały się po rozrzuconych sprzętach, wyrastających z warstwy mułu, kamieni i podwodnego zielska. Resztki zydli, sztucce, klamry pasków i coś, co kiedyś mogło pełnić funkcję butów... Woźniak poczuł dreszcze. Choć od śmierci załogi minęło prawie pięćset lat, tragedia wciąż porażała.

Robot wpłynął do ładowni. Boczne ściany nie przetrwały, ale ładunek był na miejscu. Mimo upływu lat indiańskie rękodzieło wciąż robiło wrażenie. Andrzej zazgrzytał zębami na myśl, że konkwistadorzy przetopili na sztaby większość zrabowanych precjozów.

Raptem dostrzegł coś jeszcze. Na skraju ładowni, na w pół zakopane w piachu, dostrzegł cztery długie walce. Omiecione snopem światła, połyskiwały metalicznie.

– Zupełnie o nich zapomniałem – powiedział Woźniak. – Podczas międzylądowania konkwistadorzy rozebrali jakiś ołtarz, a jego najcenniejsze elementy zabrali na statek.

Sidney skinął głową.

– Zgadza się. Mamy powody sądzić, że to właśnie te walce ściągnęły na „Santa Margaret” śmiertelną zarazę.

Robot oczyścił znalezisko. Całą powierzchnię artefaktu pokrywało indiańskie pismo.

– „Virakocza przeklął głupców. Virakocza przeklął bluźnierców. Virakocza zesłał zarazę na zabójców, ażeby w życiu i po życiu cierpieli nieopisane męki. Niech ropa, ból i robaki wypełnią ich plugawe trzewia” – wyrecytowała Sznajder. – Tak brzmi ta część inskrypcji, którą zdołałam przetłumaczyć.

– Czyli jednak klątwa? – zamyślił się Andrzej. – Niemożliwe. Może tubylcy w to wierzyli, ale...

– Pozwól, że dołożę do układanki jeszcze jedną rzecz – przerwał Wolf. – Patrz na wskazania czujników „Jeźdźca”.

To mówiąc, wywołał obok hologramu okno z wykresami, histogramami i macierzami danych. Część odczytów była szczególnie intrygująca. Według nich, wszystkie cztery walce emitowały słabe promieniowanie radioaktywne. Woźniak spojrzał

pytając na Sidneya. Potem na Justynę. I znów na Wolfa.

– Więc co to niby jest, rad? – zapytał z irytacją. – Indianie prekolumbijscy i materiały rozszczepialne? Co oni mieli na tej wyspie, kopalnię?

– Nie rad, tylko uran – poprawił Wolf. Podobnie jak podczas tamtej rozmowy telefonicznej, teraz też z jego głosu zniknęła wesołość. – Wydobyliśmy te walce. Otworzyliśmy je, przebadaliśmy i wypieprzyliśmy z powrotem na dno. Nie chciałem trzymać cholerstwa dłużej niż potrzeba.

Andrzej powoli pokiwał głową. Indianie w jakiś sposób zdobyli uran i na samotnej wyspie wzniesli radioaktywny ołtarz. Konkwistadorzy przejęli jego najbardziej niebezpieczną część, po czym zmarli z powodu promieniowania alfa, beta i gamma. Powolna, niezbyt elegancka śmierć. W pewnym sensie porównanie do klątwy było uzasadnione.

Jasne jak słońce. Albo i nie. Woźniak jeszcze nie skończył z pytaniami.

– Złoto – rzucił. – Jaki stopień napromieniowania?

– Teraz? Nie bardziej niż skorupa ziemska – odparł Sidney – chociaż jeszcze pół wieku wstecz nikt by tego nie ruszał bez ekranów antyradiacyjnych. Jest bezpieczne, ale i tak się cieszę, że draństwo sprzedałem.

– Cholernie ryzykowałeś.

– Już nigdy tego nie powtórzę, wierz mi.

Akurat, westchnął w duchu Andrzej. Prędej piekło zamarnie, niż ty przestaniesz grać z losem w rosyjską ruletkę.

– Wychodzi na to, że galeon miał naprawdę niezziemskiego pecha – stwierdził. – Trafic na tak wyrafinowane urządzenie do zabijania...

– Mylisz się – przerwała mu Sznajder.

– Bo?

Zastukała w klawiaturę konsoli. W miejscu wraku pojawił się hologram jednego z walców. Obiekt ustawił się pionowo i zawirował powoli wokół własnej osi. Raptem pokrył się liniami działowymi i rozwarstwił na dwa płaszczyzny: zewnętrzny i wewnętrzny. Ten pierwszy z pewnością wyszedł spod indiańskiej ręki – wskazywał na to rodzaj metalu i sposób jego obróbki. Ale najważniejsza okazała się warstwa numer dwa.

Cieńsza i bardziej delikatna, i na niej znajdowały się napisy. Czcionka była jednak wyraźniejsza, większa, bardziej znajoma. Uderzająco podobna do pisma, jakiego używano przed setkami lat. W Europie.

Andrzej przetarł oczy. Teoria, którą przed chwilą zbudował, zaczęła się niebezpiecznie chwiać.

Wewnętrzny płaszcz skrywał uranowy pręt z grafitowymi cylindrami na obu jego końcach. Obok obrazu widniały wyniki symulacji komputerowej. Program zanalizował skład izotopowy znaleziska. Na podstawie czasu połowicznego rozpadu wyliczył przybliżony wiek pręta i dawkę promieniowania, jaką w 1537 roku wchłonęła załoga galeonu.

Trzydzieści sześć grejów. Żadne naturalne źródło promieniowania nie było aż tak mocne.

– Poddaję się – mruknął Woźniak. – Po prostu mi powiedzcie, co to jest. I skąd się tu, do diabła, wzięło.

Wolf i Sznajder wymienili spojrzenia.

– Pierwsza część pytania jest prosta – rzekł Sidney. – Znalezisko to nic innego jak pręt paliwowy. Taki sam jak te, których używano do zasilania pierwszych reaktorów atomowych. Kiedy przechwycili go konkwistadorzy, był prawie całkiem zużyty, przez co walił promieniowaniem na potęgę. To ich zabiło: ostra odmiana choroby popromiennej.

– Paliwo jądrowe?!

– Zgadza się – przyznała Justyna. – Czteryście pięć lat przed uruchomieniem pierwszego reaktora.

Wolf mówił, że trafił na trop wielkiej tajemnicy. Miał rację. Jak zacořani Indianie znaleźli sposób na obróbkę i wykorzystanie uranu?!

Istniała co prawda jedna jedyna możliwość, która wyglądała w miarę sensownie, ale na razie Andrzej wolał się wstrzymać ze spekulacjami. Usiadł na pierwszym z brzegu fotelu i wbił wzrok w hologram. To odkrycie mogło obalić od groma teorii na temat historii obu Ameryk. Mogło zmienić sposób myślenia na temat starożytnych cywilizacji – a jednocześnie niosło ze sobą zagrożenie.

– To co robimy? – zapytał. – Publikujemy informację? Czy nic nie mówimy? Ostrzegam: jeden zły ruch i światek archeologów

uznaje nas za wariatów. Zwłaszcza że wyrzuciliście pręty.

Sidney uśmiechnął się szeroko.

– Trzecia możliwość: drążymy dalej. Dlatego cię tu ściągnąłem, Andy. Nie chcieliśmy angażować ludzi z zewnątrz. Twoja wiedza historyczna przyda się nam w poszukiwaniach.

– W poszukiwaniach czego?

– A jak myślisz? W poszukiwaniach prawdziwych twórców tych prętów! Ktoś je zaprojektował. Ktoś je zbudował. Ktoś dysponował technologią, która na to pozwalała, i ten ktoś zdołał ją ukryć przed światem na pół tysiąca lat. Zresztą nie wiesz jeszcze wszystkiego. Justyna, powiedz mu.

Sznajder znów przywołała na usta ten swój uroczy uśmiech.

– Namierzyliśmy wyspę, gdzie znaleźli te pręty. Jutro wypływamy szukać źródła ich pochodzenia.

ROZDZIAŁ 2

MIASTO CZY GROBOWIEC?

Początkowo Woźniak nie miał zamiaru wchodzić w to przedsięwzięcie. Bał się piratów oraz możliwości, że zastosowane na „Casablance” środki ostrożności nie wystarczą i za dzień lub dwa skończy jako trup na dnie oceanu. Z drugiej jednak strony nie mógł tak po prostu zrezygnować z wyprawy – nie wybaczyłby sobie tego do końca życia.

Więc wyruszył. Z duszą na ramieniu i dziennikiem „Santa Margaret” w plecaku, u boku czterdziestu pięciu innych załogantów „Casablanki”. Statek płynął teraz wśród wysp archipelagu Bahamów. Jak na razie horyzont był wolny od jakichkolwiek wrogich jednostek. Dobry znak?

Czy cisza przed burzą?

Andrzej czytał kiedyś historię „Frankfurtu” – niemieckiej jednostki, która na przełomie sierpnia i września 1939 roku prowadziła tu badania oceanograficzne. Pewnej nocy zniknęła. Mieszkańcy okolicznych wysp mówili o serii rozbłysków i gromów, jakie miały wtedy miejsce. Podobno to Amerykanie nakryli „Frankfurt” na jakiejś nielegalnej operacji militarnej i zakończyli ją za pomocą błyskawicznego ciosu. Oby „Casablance” nie skończyła podobnie.

Woźniak podziwiał załogę za spokój ducha. Może nie panikowali dlatego, że każdy miał co robić – a może przez to, że każdy był mniejszym bądź większym przekaznikiem plotek. Andrzej nie wsłuchiwał się w nie jakoś specjalnie. Gdyby jednak miał sporządzić listę hitowych tematów, uwzględniłby rychły ślub Jess Dwiggins i Artiego Langa, alkoholowe ekscesy Dana Gordona, małą wojnę na linii kambuz-ambulatorium i horrendalne premie najemników. No i jęki dochodzące okazyjnie z kajuty kapitańskiej, okraszone komentarzami w stylu „córka już

jest, to teraz syn”.

Zagrożenie piratami nie weszłoby nawet do drugiej dziesiątki.

A tymczasem Andrzeja nosiło od burty do burty, od pokładu do pokładu. Gdybyż chociaż znał więcej osób niż tę garstkę, którą pamiętał z wizyty „Casablanki” w Gdyni... Rotacja załogi była jednak spora. Zresztą z kim i o czym miałby gadać? Z Kelly o kuracjach medycznych? Z Wiewiórowskim o silnikach? Do Gordona nie zbliżał się z definicji, bo nie znosił dziwaka. Snuł się więc tylko i rozmyślał o paliwie jądrowym z szesnastego wieku. Tak jak teraz.

Stojąc na dziobie statku i patrząc, jak niebo barwi się na karmazynowo, wrócił pamięcią do prezentacji Wolfa. Od tamtego czasu minął tydzień, ale odnosił wrażenie, że sensacje zostały ujawnione ledwie przed paroma godzinami.

– Wyspa nazywa się Eleuthera – powiedział wtedy Sidney.
– Oczywiście nie ma szans, żebyśmy znaleźli tam cokolwiek na temat budowniczych Ołtarza Śmierci. Pręty to jedyny wytwór rozwiniętej technologii, jaki tam odkryto.

– Ołtarz Śmierci? – Woźniak parsknął śmiechem. – Nie było innej nazwy?

Wolf wyszczerzył zęby.

– Do Świątyni Zagłady są chyba prawa autorskie? W każdym razie nie mamy czego szukać na Eleutherze. Domyślamy się jednak, że tubylcy musieli znaleźć pręty gdzieś w rejonie wyspy. Transport na duże odległości nie wchodzi w grę – choroba popromienna wybiłaby tragarzy co do sztuki.

Andrzej wpatrywał się w hologram, w płaszcz otulający uranowy rdzeń pręta. Kolumny znaków ciągnęły się od góry do dołu, w kilku miejscach widniały skomplikowane symbole, całość zaś składała się na przedziwny język. W ogólnym zarysie przypominał łacinę, był jednak prostszy i bardziej intuicyjny. Żeby go rozgryźć w pełni, należało zdobyć większą próbkę tekstu. Resztę załatwią algorytmy lingwistyczne. Wtedy na pewno wyjdzie, co, kto i kiedy.

Na razie skupił się więc na indiańskich inskrypcjach.

– Virakocza – mruknął. – Według południowoamerykańskich legend był stwórcą świata i ludzkości. Przybył ze wschodu na skrzydlatej łodzi i pod postacią brodatego starca nauczał po-

ludniowych Indian. Gdy przekazał im całą swoją wiedzę, odpłynął. Indianie wierzyli, że kiedyś powróci, by kontynuować swoje rządy. Między innymi z tego powodu upadło imperium Inków. Konkwistadorzy Pizarra zostali wzięci za boskich wysłanników i tylko dlatego nie zginęli na dzień dobry.

– Najwyraźniej Virakocza nie był tak dobrotliwy, jak powiadają – wtrąciła Justyna, uśmiechając się ironicznie. – Podejrzewam, że wyspa była swego rodzaju więzieniem. Zsyłano na nią przestępców, żeby skończyli tak, jak głoszą inskrypcje. Sam ołtarz mógłby pełnić rolę duchowego kanału, poprzez który Virakocza przesyłał zabójczą moc. Choroba radiacyjna... Okropność.

– Zresztą to nie jedyny przypadek – dodał Wolf.

Wózniak uniósł brwi.

– Istniało więcej ołtarzy?

– Nie. Więcej radioaktywnych znalezisk.

Zastukał w klawiaturę i na holomonitorze pojawiła się mapa Atlantyku. W kilkunastu miejscach migotały czerwone punkty i powiązane z nimi charakterystyki statków. Sidney wybrał jedną z notatek.

– Październik tysiąc pięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Galeon „Dolores” ogarnia pożar. Jego załóżek znajdował się w ładowni, gdzie spoczywał „gorący metal”: dziwny obiekt odkryty na brzegu pewnej wyspy. Załoga zaczyna mieć na ciele czarne plamy, część umiera.

Wybrał następny opis.

– Lipiec tysiąc siedemset osiemnastego. Tajemnicza choroba marynarzy, którzy przez kilka tygodni przebywali na jednej z karaibskich wysp. Umiera czterech, reszta żyje jeszcze przez trzy miesiące. I następny incydent: grudzień tysiąc osiemset ósmego. Francuski okręt liniowy „Robespierre” wpada na skały po tym, jak sternik stracił przytomność. Znaleziono przy nim złoty wisior z kamieniem, na którym ponoć ciążyła śmiertelna klątwa. Maj tysiąc dziewięćset szesnastego. Marynarze z amerykańskiego okrętu USS „Victory” zapadają na białaczkę. Kilka miesięcy wcześniej u wybrzeży Bermudów zetknęli się z metalową płytą pokrytą dziwnymi znakami.

– Oczywiście wszyscy się zgadzamy, że znaleziska pochodzą

z tego samego źródła? – zapytał Andrzej.

– Jasne.

– Im później je znajdowano, tym łagodniejszy był przebieg choroby – stwierdził Woźniak. – Co nam to mówi?

– Zużyte paliwo jądrowe potrzebuje pięciuset-sześciuset lat, żeby przestać stanowić zagrożenie. Napromieniowane przedmioty – też coś koło tego.

– Zmniejsz proszę powiększenie.

Przyjrzał się mapie. Punkty leżały nie tylko na Atlantyku. Ocean Spokojny i Indyjski, morza przybrzeżne południowej Azji... Archipelagi Oceanii i Hawajów, Malwiny... Świat był pocętkowany miejscami, gdzie w różnych okresach znaleziono radioaktywne obiekty. Jakaś blacha. Talizmany. Mechanizmy o nieznanym przeznaczeniu. Fragmenty cewek. Większość przedmiotów została wyrzucona na brzeg przez sztormowe fale.

Od czasów Kolumba Europejczycy zapuszczali się coraz dalej od domu. Nigdy jednak nie natrafili na cywilizację zdolną do wykorzystywania energii jądrowej. Nasuwał się więc jeden wniosek: twórcy prętów byli aktywni przed wielkimi odkryciami geograficznymi.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – powiedział Woźniak. – Według tej mapy twórcy prętów opanowali kawał świata. Dlaczego nie ma na ich temat żadnych wzmianek historycznych? Mam dobrą pamięć. Czytałem w życiu masę niedorzecznych ksiąg i zapisków, nawet manuskrypt Wojnicza. Nie kojarzę niczego, co mogłoby się łączyć z naszym tajemniczym ludem.

Polecił zrobić zbliżenie na Bahamy i wskazał palcem Eleutherę. Oprócz prętów w jej okolicy odkryto kilka innych, aczkolwiek dużo mniejszych i mniej śmiertelnych obiektów.

– Ciekawe... Sid, skąd masz tę bazę danych?

Tamten uśmiechnął się nieznacznie.

– Kupiłem za grube pieniądze. U wiarygodnego i sprawdzonego źródła. Fantastyczna inwestycja. Pomyśl, ile załóg zmarło wskutek promieniowania! Ile statków przez to zatone! Ile skarbów leży gdzieś tam, na dnie!

– Nie o to pytałem, ty hieno cmentarna!

Andrzej nienawidził tej gorszej części przyjaciela. Owszem, te statki zaginęły. Niektóre rzeczywiście przewoziły skarby. Ale,

na Boga, na ich pokładach zostały ciała ludzi! Te wraki były grobowcami, a nie żerowiskami dla szabrowników!

– „Wilku cmentarny” jak już! – zjeżył się Wolf.

– Może powiem jaśniej – rzucił ostro Woźniak. – Ktoś zbadał ogromną ilość archiwów i zebrał te dane. Ktoś naniósł je na mapę, ale czy dobrowolnie wystawił na sprzedaż? To gorący towar, Sid. Chcę wiedzieć, na czym stoimy.

– Na twardym gruncie. Źródło jest dobre i dane są dobre, niech cię o to głowa nie boli. Nie musisz się o nic martwić.

Nie chciał powiedzieć nic więcej, a przy każdej kolejnej próbie poruszenia tematu beczelnie zaczynał mówić o czymś innym bądź po prostu ignorował pytania. Andrzej postanowił jednak, że jeszcze wróci do sprawy. Jeśli nie teraz, to później.

Zastanawiał się, jak daleko od Eleuthery spoczywa źródło szczątków. W głębi Atlantyku? Czy raczej gdzieś między wyspami Abaco, Andros i New Providence?

Po trzech dniach rejsu rozpoczęło się przeszukiwanie dna.

Woźniak oparł się o reling. Z kubkiem niecukrzanej herbaty w ręku powiódł wzrokiem po ramieniu wysięgnika. Z jego końca zwisał kabel komunikacyjny łączący się kilometr niżej z „Duchem”. Robot przeczesywał otoczenie za pomocą sonaru, kamer oraz wysoko specjalistycznych czujników bliskiego i dalekiego zasięgu. Strumienie danych mknęły światłowodem wprost do centrum operacyjnego. Tam garstka ludzi non stop ślęczała przed monitorami, czekając na sensacje.

I tak od czterech dni. Przerażliwie nudna robota. Jak na razie „Duch” znalazł niewiele. Dwie stare kotwice, wręgi, blaszane talerze i sztucce. Paski od spodni. Kalosze. Drobne metalowe szczątki.

I fragment działa piratów.

O incydencie było swego czasu dość głośno. Pewnego dnia na Bahamach pojawił się drobnicowiec, który zaczął się trudnić napadami na statki wycieczkowe. Kiedy natrafił na amerykański okręt, zaczął strzelać i rzucił się do ucieczki. Nie zatrzymał się nawet wtedy, gdy eksplozja pocisku raketowego oderwała mu z pokładu kawał wspomnianego działa.

Koniec końców Amerykanie zatopili pirata. Od tamtej pory

okolica była regularnie patrolowana przez US Navy; nawet teraz Andrzej widział na horyzoncie jeden z ich krążowników. Miał przy tym poważne wątpliwości, czy okręt zdąży z odsieczą w razie ataku. Niewiele pocieszały go też zapewnienia Wolfa.

„Jak już pewnie zauważyłeś, na statku jest rozstawiony oddział najemników, całe osiemnaście osób” – powiedział na samym początku rejsu. „Oprócz nich mamy trochę poukrywanych cekaemów i moździerz, no i przede wszystkim wyrzutnię torped w zbiorniku balastowym. Napastnicy nie zdążą się nawet zorientować, co ich trafiło”.

Woźniak modlił się, żeby tak rzeczywiście było.

– O, tu jesteś! – Justyna wyłoniła się z nadbudówki i nim Andrzej się spostrzegł, już stała przy nim. Pod pachą trzymała tablet. Na ekranie widniały inskrypcje z pręta paliwowego.

– Myślałam, że wciąż ślęczysz nad archiwum ze skarbami „Margaret” – dodała.

– A ja myślałem, że siedzisz w centrum operacyjnym i razem ze Stanleyem podziwiasz dno.

Wzruszyła ramionami.

– Jak coś znajdują, to zawołają. Tutaj mam lepsze widoki.

W oddali widać było Eleutherę otoczoną świetlnymi refleksami na powierzchni wody. Zachód słońca barwił ją na karmazynowo. Woźniak powiódł po niej wzrokiem, następnie wpatrzył się w towarzyszkę. Ona zaś znów obdarzyła go tym swoim uroczym uśmiechem.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał w pewnej chwili. – Na „Casablance”, u boku tego wariata?

– Wariat ci nie opowiedział?

– Chcę usłyszeć twoją wersję. Historyk szuka w wielu źródłach. Nawet historyk-amator.

– Sid inaczej o tobie mówi. – Justyna mrugnęła porozumiewawczo. – Od lat robił interesy z moim ojcem. Kiedyś konkurencja wyprosiła go z pewnego wraku, a na pożegnanie solidnie poturbowała „Casablanke”. Statek wymagał remontu, a Sidjechał na oparach pieniędzy, więc poprosił nas o pożyczkę. Potem spłacił całą należność, ale dług wdzięczności pozostał. Teraz przyszła pora na spłatę, więc oto jestem.

– I nie boisz się piratów? To znaczy wiem, Hassan i jego komando tanio skóry nie sprzedadzą. Ale po drodze ktoś może oberwać. Przypuszczalnie ja albo ty.

Odłożyła tablet na podłogę.

– Raczej ty. Udowodnić ci, że „słaba kobieta” to tylko pie-przony oksymoron?

Andrzej cofnął się nieznacznie.

– Poczekaj, nie...

Za późno.

Nie podejrzewał jej o taką szybkość. W jednej chwili łąpała go za nadgarstek. W drugiej – przerzucała przez ramię. W trzeciej leżał rozkrzyżowany na pokładzie i krzywił się od bólu pleców. Sznajder stanęła nad nim i wyszczerzyła bezczelnie zęby.

– W razie ataku jesteś pierwszy do odstrzału – stwierdziła z rozbawieniem.

– Ale nowość. Powiedz coś, czego nie wiem.

Wstał powoli i zażenowany oparł się o reling. Powalony przez kobietę. Przez kobietę! Kątem oka dostrzegł kilka osób obserwujących całe zajście. Hanson i Yantar nie byli wprawdzie gadułami, ale Dan Gordon, który właśnie zniknął w nadbudówce, pewnie zaraz zacznie opowiadać po całym statku i przekręcać fakty. Załoga będzie miała niezły ubaw.

Z Sidneyem na czele.

Pięknie.

– Stawiam pół wypłaty, że każdy twój przeciwnik skończy tak jak ja – stwierdził kwaśno Woźniak.

– Taki z ciebie optymista? Nie radzę. – Usiadła na pokładzie i wzięwszy na kolana tablet, zaczęła biegać palcami po dotykowym ekranie. Obok głównego arkusza z inskrypcjami wyświetliło się okno statusu programów tłumaczących.

– Od kiedy na studiach lingwistycznych uczą rzucać ludźmi?

– To niebezpieczne czasy – uśmiechnęła się Justyna. – Zwłaszcza dla takich, co tułają się po świecie u boku Wolfa. Jeśli nie umiesz machać pięścią i mieczem, kończysz jako ofiara piratów.

Woźniak uniósł brwi.

– Dobrze słyszałem? Machać m i e c z e m ?!

– Zanim wyjechałam z Gdańska na dobre, liznęłam podstawy

szermierki. Szkoda, że nie mam pod bokiem jakiejś szabli, pokazałabym ci parę sztuczek... Słuchaj, Sid trzyma w kajucie katanę i wakizashi. Skoczysz po nie?

Pokręcił głową. Miał poważne obawy, że po kolejnej demonstracji zostanie bez ręki.

Raptem z tabletu wydobył się sygnał przychodzącej wiadomości. Na ekranie pojawiła się twarz Wolfa.

– Justyna? Przekaż Andrzejowi, że współczuję mu z powodu pleców.

– A ty przekaż Gordonowi, żeby mi nie wchodził w drogę – powiedział Woźniak lodowatym tonem. – Czego chcesz?

– Zaprosić was do centrum operacyjnego. Chyba coś znaleźliśmy.

Andrzej i Justyna wymienili spojrzenia. A potem zerwali się z miejsca i popędzili w stronę rufy.

Na fordeku krążownika stały dwie osoby. Nie odrywały wzroku od „Casablanki”.

– Piękna jednostka – powiedział Ian Robertson, odejmując od oczu lornetkę. – Wolf ma gust. Szkoda, że podczas abordażu Lake ją podziurawi.

– Te romantyczne bzdury naprawdę mnie nie obchodzą. „Casablanca” zastopowała silniki i wygląda na to, że zostanie tu na dłużej. Taka szansa może się powtórzyć. Kiedy atak?

Robertson zerknął przez ramię na towarzyszącą mu kobietę. Była wysoka i szczupła, rude włosy miała spięte w koński ogon. Stała oparta o ścianę nadbudówki, z rękami wepchniętymi w kieszenie kurtki, i spoglądała na niego ze zniecierpliwieniem.

– Chyba się nie wahasz? – dodała ze złośliwym uśmiechem.

– Ja się nie waham. Ja analizuję sytuację. Jeśli zanadto się pośpieszymy, cały plan pójdzie w cholerę.

– Jeśli nie ruszymy z miejsca, ktoś nas przyłapie i wtedy też plan pójdzie w cholerę. Wybieraj.

– Cierpliwości, Raxter. Cierpliwości.

– Byle nie za dużo – odparła kwaśno.

Wściekła jak zawsze, pomyślał z dezaprobatą Robertson, wpatrując się w ostre rysy jej twarzy. Spróbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek była zadowolona. Na myśl przyszła mu

jedynie sytuacja sprzed dwóch tygodni, gdy Raxter przesłuchiwała więźnia w Pokoju Zwierzeń. Nie był to przyjemny widok.

– Chyba nie muszę przypominać, z czyjej winy ich śledzimy?
– dodał ostro.

Z rozbawieniem zaobserwował, jak na ułamek sekundy kobieta traci pewność siebie. Drgnięcie powieki, mały krok do tyłu. Mięśnie napinające się jak do walki, czujne spojrzenie. Robertson uśmiechnął się ironicznie. Na ciebie, Rito, jeszcze przyjdzie kolej – pomyślał. Na razie to Sidney Wolf jest na szczycie listy osób do odstrzelenia. Tak, to zdecydowanie jedno z tych zagrożeń, które trzeba niezwłocznie usunąć. Dla bezpieczeństwa Zodiaka i nas wszystkich.

Robertson zastanowił się, czy zwyciężyłby z Wolfem w walce jeden na jeden. Był od niego co prawda niższy i bardziej krępy, ale równie wysportowany. Dobrze strzelał, nieźle posługiwał się też bronią białą. Początki łysiny i zmarszczki na czole nadały mu wygląd podstarzałego biznesmena, jednak konfrontacja na pewno rozwiązałyby wątpliwości.

Zobaczmy, czy będzie na to czas, pomyślał.

– Powiadom Lake'a, że chcę się z nim widzieć – rzekł po chwili. Podniósł do oczu lornetkę i wpatrzył się w „Casablankę”. – I przekaz, że jego ludzie mogą już szykować abordaż.

Rita miała rację. W końcu nadeszła idealna okazja i grzechem byłoby jej nie wykorzystać. Cała operacja, wynik wpadki sprzed trzech miesięcy, wreszcie chyliła się ku końcowi.

Kobieta niedbale zasalutowała.

– Tak jest, kapitanie.

Wysięgnik obrócił się i nad wodą zawisł „Jeździec”: długi na dwa metry robot głębinowy, przypominający wielkie pudło. W wewnętrznych skrytkach tkwił wszelki sprzęt, jaki mógł się przydać do przeczesywania wraków, między innymi zestaw skomplikowanych manipulatorów i kamery wysokiej rozdzielczości. W kilku miejscach tkwiły pędniki strumieniowe. Z odczepialnego złącza na grzbiecie wyrastała lina – łącząca robota z „Casablanką” smycz z zatopionym wewnątrz przekaźnikiem radiowym, światłowodem i linią zasilania.

Zabuczwały silniki wyciągarki i „Jeździec” zniknął w wodzie.

Woźniak obserwował przez chwilę spienioną toń, po czym zrobił w tył zwrot i wkroczył do centrum operacyjnego. Justyna już tam na niego czekała – a wraz z nią kilka innych osób liczących na jakieś wieści.

Andrzej skinął głową na Eryka Singera, głównego operatora robotów głębinowych. „On tylko wygląda jak programista” – przedstawił go Wolf podczas wieczorku zapoznawczego w wigilię wypłynięcia w morze. Co innego sugerowały czarne włosy spięte w kucyk, wąskie druciane okulary i kozia bródka do spółki ze spraną koszulką i jeansami. Kiedy jednak się odzywał, daleko mu było do komputerowego slangu. Zaś gdy głośniki zagrzmiały muzyką, porwał w tan inną charakterystyczną osobę: Bestyjkę. Z nią Andrzej poznał się dopiero później.

Teraz mężczyzna mruknął coś Woźniakowi w odpowiedzi, nie odrywając rąk od panelu dotykowego swojego pulpitu. Czujniki konsoli szczytywały ruchy jego dłoni i tłumaczyły je na rozkazy dla „Ducha”. Singer ze skupieniem wpatrywał się w monitor, w obrazy z kamer i dane z czujników.

Dwa stanowiska dalej siedziała Bestyjka. Tak naprawdę nazywała się Monica Valdez, ale pseudonim idealnie odzwierciedlał jej charakterek. Gdy uśmiechała się wrednie po jakiejś sarkastycznej uwadze, błyskała idealnie równymi, białymi zębami. Gdy tańczyła, jej spięte w koński ogon czarne włosy były jak bicz. Śniada cera zaś sugerowała, że wewnątrz tego ciała płonie ogień.

Szczególnie gdy patrzyła na Singera. Wolf żartował, że załoga już dawno przestała pytać „czy oni?” i teraz robi zakłady o „kiedy” i rodzaj pierścionka.

Podobnie jak Eryk, również Bestyjka odpowiadała za sterowanie robotami, ale prowadzenie „Jeźdźca” było dużo trudniejszą sztuką. Za chwilę to ona miała przejąć pałeczkę w eksploracji. Wolf zaganiał ją do roboty zawsze wtedy, gdy „Duch” napotykał coś wartego przeszukania.

Wewnątrz piramidy holomonitora widniała mapa dna. Wzbogacały ją zestawienia danych z kamer, echosond i wszelkiego rodzaju czujników, w tym rozkład widma promieniowania elektromagnetycznego.

Pośrodku projekcji tkwił odnaleziony obiekt. Według ska-

nerów „Ducha”, składał się z co najmniej dwóch części: wierzchniego dysku o średnicy około dwustu metrów oraz walca o dużo większej średnicy i znacznej wysokości. Struktura zbudowana była z metalu. Obrosnięta koralowcami i glonami, wbita w dno pod łagodnym kątem, czekała na odkrycie Bóg wie ile czasu.

Co więcej, emitowała słabe promieniowanie radioaktywne.

– Co to jest? – zapytał Woźniak, zaglądając Singerowi przez ramię. Na monitorze jego konsoli nie dostrzegł wiele, jedynie jakąś pionową płaszczyznę.

– Podejrzewamy, że trafiliśmy na miasto zasilane reaktorem atomowym – odparł pospiesznie operator. – Spoczywa w tym miejscu od setek lat.

Andrzej ponownie wpatrzył się w hologram. Zmarszczył brwi.

– Dosyć małe jak na miasto.

– Większość konstrukcji leży głębiej. Tylko pomyśl, jakie tajemnice się tam kryją! – powiedział Singer z fascynacją w głosie.

– Pomyśl o geniuszu twórców tego wszystkiego!

– Tylko się nie popłacz ze szczęścia – rzuciła do niego Bestyjka. Uśmiechnęła się jadowniczo na widok obrażonej miny więcej-niż-kolegi, po czym wróciła do swojego zajęcia. „Jeździec” opadł już na głębokość kilometra. Za kilka chwil miał dołączyć do drugiego robota i ruszyć z oględzinami znaleziska.

W pomieszczeniu zbierało się coraz więcej ludzi. Artie Lang i Jess z sekcji informatycznej, czyli statkowe papużki-nierozłączki. Novak od silników. Nawet ten brodaty drań Gordon. Woźniak obiecał sobie, że w wolnej chwili wygarnie mu to i owo.

– ...odkąd go obserwujemy, nie zmienił pozycji.

– Ciekawe – stwierdził Sidney. – Od kiedy zasada nieoznaczoności Heisenberga działa też na statki?

Oho, pomyślał Woźniak. Coś się dzieje. I nie chodzi tu o wrak.

Odwrócił się nieznacznie, akurat tyle, by rozeznac się w sytuacji. W świetle wejścia stał Sidney z towarzyszem. I to nie było jakim.

Hassan al-Jamail był nowym szefem bezpieczeństwa „Casablanki”. Wyglądał trochę jak żołnierz od Saddama Husajna:

śniada cera, gęste wąsy, czarne kręcone włosy wystające spod beretu. Przez ramię przewiesił karabin i wydawało się, że bez wahania rozwali każdego wroga. Minę miał jednak nietęgą. Zaniepokojony? W sytuacji, gdy jego najemnicy nawet teraz czatowali na dachach?

– Wygląda jakby na coś czekał – dodał Hassan. – Albo na kogoś.

– Podwoić czujność – mruknął Wolf. – To nie jest dobry moment na cholerny napad cholernych piratów. Wracaj do chłopaków, melduj o wszystkim. I przekaz Steve’owi, żeby zapuścił skan okolicy. Nie życzę sobie żadnych niespodzianek.

Hassan zasalutował, zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Większy służbista niż jego poprzednik, pomyślał Andrzej. Ciekawe uzupełnienie po rzeźni sprzed półtora roku. Skąd tyś go wytrzasnął, Sid?

Głośno zaś rzucił:

– Co tak długo? Myślałem, że znajdę cię tu z twarzą w monitorze. Co się dzieje?

– Nic – Wolf uśmiechnął się łobuzersko. – Singer, melduj! Co wygrzebałeś?

Operator „Ducha” skinął głową, po czym wskazał na holomonitor.

– Metalowa czapa na głębokości kilometra. Przyjrzyjcie się tej części.

Stuknął w klawiaturę i jeden z fragmentów obiektu uległ powiększeniu. Kontury się wyostrzyły, tekstury zwiększyły rozdzielczość. W środku pomieszczenia zawisła pionowa ściana. Większość jej powierzchni porastały małże i glony, gdzieniegdzie widać było skorupiaki i ryby. Spory fragment pozostawał jednak czysty. Łaciński napis, który był tam wytłoczony, ciągle dawał się odczytać.

„Państwo Urland”.

Aha, pomyślał Woźniak. Państwo. Na dnie oceanu. Nawet nie miasto jak „BioShock” przykazał... A może jednak? Diabli wiedzieli, co kryło się w środku. W każdym razie wypadało przyjąć teorię Singera o podwodnym mieście jako wiążącą. Przynajmniej na razie.

Andrzej podrapał się po głowie. Urland... Dlaczego nigdy

nie słyszał tej nazwy? Jeśli wiek glonów został określony poprawnie, a obiekt wraz z napisem to nie relikwiarz jakiegoś super-tajnego projektu Amerykanów, rodziła się seria bardzo ciekawych pytań. Z jednym zasadniczym na czele.

Dlaczego państwo, które mogło pochwalić się takim osiągnięciem, nie zostawiło po sobie nawet wzmianki? Nie chciało? Czy raczej nie mogło?

– Mam teorię – rzucił Singer. – Atlantyda.

Sidney parsknął śmiechem.

– Wierzę w wiele mitów, ale teraz przesadziłeś.

– O? – zjeżył się Singer. – A jakież to mity, panie szefie?

– Eldorado. Starożytne UFO. Tajni naziści z Argentyny. Zadowolony? Tak? To nie rozwadniaj już dyskusji. Z danych „Ducha” wynika, że warstwa żyłatek i innego badziewia na kałdubie ma jakieś pięćset lat. Pięćset kontra jedenaście tysięcy, bo tyle, bazując na Platonie, minęło od zagłady Atlantydy. Poza tym to była wyspa albo kontynent. A nasze znalezisko nie wygląda ani na jedno, ani na drugie.

– I co z tego? – nie poddawał się Singer. – Teraz króluje hipoteza, że cywilizacja Atlantydy nie zamieszkiwała jednego lądu. Mówi się raczej o federacji miast-państw, rozsianych po całym świecie. To była cywilizacja, która żeglowała aż po same krańce mórz. Jak dla mnie to wszystko bardzo pasuje do radioaktywnych śmieci po Urland.

– Jak dla mnie bazujesz na badaniach pseudoarcheologów i szalonych mitomanów – wtrącił Woźniak. Przyjrzał się napisowi. – To łacińskie pismo, Eryk, nie greckie. Chyba że twoja teoria uwzględnia podróże w czasie. Pomniejsz proszę obraz. – Obszedł holomonitor i wskazał inną część dysku. – Tu jest nieregularność. To wygląda tak, jakby ktoś odgryzł stąd kęs metalu, a wyrwę zamaskował zielskiem i naroślami. Co jest głębiej? Sprawdzaliście już to?

Singer wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie. „Duch” to zwiad na sznurku, a nie pieprzona przecinarka. I nie bywa w stu miejscach naraz. Bestyjko?

– Czekaj – mruknęła Valdez, nie odrywając wzroku od ekranu. Wodziła palcami po konsoli jak pianistka po klawiszach fortepianu. – Jestem przy dnie. Przesuwam się do tego

miejsca... Hm, to rzeczywiście może być ciekawe. Szykuję manipulatory. Hamuję. Zobaczmy, co to jest.

Robot przemknął przez obszar pełen muld i zapadłisk i zbliżył się do ściany miasta. Zaczął ją oczyszczać za pomocą dział ultradźwiękowych. W wodę wystrzeliły chmury pełne szczątków i sproszkowanych wapiennych panczerzyków.

– To trochę potrwa – zastrzegła Bestyjka.

– Poczekamy – rzekł Andrzej i skinął na przyjaciela. Gdy tamten zrobił zdziwioną minę, Woźniak po prostu szarpnął go za kurtkę i wyprowadził na zewnątrz nadbudówki.

Sidney westchnął ciężko i oparł się o reling. Spojrzał z niechęcią na towarzysza.

– Nie wiesz, kiedy przestać drążyć, co?

– Moja cecha gatunkowa.

– Ja ci naprawdę powiedziałem wszystko, o czym powinienś wiedzieć.

– Akurat! Słyszałem waszą rozmowę z Hassanem. Mówiłeś, że ktoś nas śledzi.

– A. – Wolf się zmieszał. – O to chodzi.

– Od kiedy pościg za „Casablanką” to coś, o czym nie powinienś wiedzieć?

– Nie chciałem ci zawracać głowy.

– Gdybyś wiedział, że to tajni hitlerowcy z Argentyny, też byś siedział cicho?

– Andy, ja...

– Kto to jest i czemu to robi? – warknął Woźniak. – Gadaj.

Sidney westchnął z rezygnacją.

– Ogon mamy od dwóch dni. – Wskazał brodą przestrzeń za burtą. W oddali rysowała się ciemna sylwetka jednostki pływającej. – Krążownik raketowy typu „Ticonderoga”. Długość sto siedemdziesiąt trzy metry, szerokość siedemnaście, zanurzenie dziesięć, prędkość maksymalna trzydzieści jeden węzłów. Z tego, co wiem, Amerykanie mają na stanie jakieś dwadzieścia jednostek tej klasy i często zdarza się, że patrolują nimi te wody. Zwłaszcza po incydencie z pirackim drobnicowcem.

– Podpadłeś im czymś? Popsułeś jakąś operację i teraz się mszczą?

– Nigdy nie narzekali na realizację zleceń. Ergo: wątpię.

– A starzy znajomi z CIA?

– B a r d z o wątpię.

– A... Oni?

– Andy, proszę cię! – syknął Wolf. – Tutaj? Pod samym nosem Stanów? Zresztą co ty sobie myślisz? Że przejęli „Ticonderogę” i przeszło to bez echa? Zwłaszcza bez echa u nas? W systemie?

– No to co w takim razie? – wycedził Andrzej. – Zwiad? Manewry?

Sidney wzruszył ramionami.

– Może i manewry. Nie wiem. Ale to by tłumaczyło, czemu ma wyłączony AIS... Wiesz, automatyczny system namierzania. Może dlatego draństwo nie odpowiada na próby nawiązania kontaktu. Może za sterem siedzi jakiś komandor Dupek, jeden z tych komandorów Dupków, co nie cierpią kontaktu z cywilami.

– Wciąż nie lubisz wojska, co? – zauważył Andrzej.

– W takim samym stopniu co Onych i konkurencji. Ze wskazaniem na Onych.

– Mina Hassana sugerowała jakąś grubszą aferę.

– Gdybyś przeszedł tyle co on, też byś rozpatrywał same czarne scenariusze.

– Ja zawsze rozpatruję czarne scenariusze. Kogo obstawiasz tam, na pokładzie? Hitlerowców czy piratów?

– Masz już obsesję z tymi hitlerowcami – skrzywił się Wolf. – Obstawiam porwanie przez piratów. Myślisz, że dłaczego nasze chłopaki warują na dachach? Podobną sytuację miałem w zeszłym roku. Piracki transportowiec najpierw nas śledził, potem zaczął strzelać, a w końcu jego załoga rzuciła się do abordażu. Ani jeden z tych sukinsynów nie został przy życiu. Ani jeden. Hassan i dwóch jego ludzi co prawda dostało kulkę, ale się wylizali.

Woźniak prychnął.

– Tam transportowiec, tu okręt wojenny. Widzisz różnicę?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Damy radę. I mówi się „okręt”. „Okręt wojenny” to oksymoron.

– Chyba tautologia – skwitował Andrzej, uśmiechając się jałowicie.

– Może i tautologia. Co z tego? Odwracasz kota ogonem.

– Odwrócić to ty możesz „Casablankę”. Nie lepiej stąd zwiać i wrócić później?

– Tak, a wtedy oni nas zaczną gonić, przeświadczeni, że coś znaleźliśmy! Genialne! – warknął Sidney i przejechał sobie palcem po szyi. – Zostajemy tutaj. Jesteśmy za blisko, żeby się wycofać. Jak się zrobi groźnie, to uciekniemy, ale na dobrą sprawę nie wiemy nawet, ile jest zagrożenia w tym zagrożeniu. Gdybym trząśł portkami przed każdą podejrzaną jednostką, dawno zmieniłbym branżę.

– To zagrożenie może ci wpakować rakiety w śródokręcie. Już za chwilę. Liczysz się z tym?

– I tak, i nie. Załóżmy, że wiedzą, że gonimy za skarbem, i oni też się na ten skarb zasadzili. Najbardziej opłaca im się poczekać, aż go wydobędziemy. Gdyby na dzień dobry przywitani nas rakieta, musieliby potem wydłubywać nasz ładunek z każdej kupy piachu na dnie.

– Aha. Czyli tak wygląda gwarancja, że cię nie zabiją. Wróc – że n a r a z i e cię nie zabiją. Podziwiam twój spokój.

Wolf machnął ręką.

– To jak balans na linie, a ja jestem w tym najlepszy. To znaczy my. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Tylko nie próbuj mnie znowu nama...

– Niesamowite! – dobiegł ich nagle głos Singera.

Andrzej jak na rozkaz ruszył do centrum kontrolnego. Czas dokończyć pokaz, pomyślał. Jednak zanim wszedł do środka, zerknął przez ramię na horyzont. Na tle zachodzącego słońca rysowała się sylwetka krążownika.

„Jeździec” pozbył się części śmieci. Teraz szczegóły wkleśniętego rejonu znaleziska stały się na tyle wyraźne, że można było już wyciągać wnioski. Kiedy Wolf i Woźniak ujrzeni obraz z kamer robota, nie pozostało im nic innego, jak zawtórować Erykowi.

Oczyszczony fragment wyglądał tak, jakby rozerwała go eksplozja. Valdez odsłoniła wystrzępione i poskręcane pasy złomu, wystające z wnętrza konstrukcji. W wielu miejscach dało się dostrzec pęki kabli – pod wpływem ruchów wody poruszały się jak macki. Otoczone prętami, belkami i zmiażdżonymi kratowni-

cami, tworzyły chaotyczną płataninę.

Kilkanaście metrów w głębi obiektu znajdowała się wnęka. Snop światła reflektora spenetrował ją i nagle wyłowił z mroku coś, co wyglądało jak kawał gigantycznego transformatora. W innym miejscu widniał fragment korytarza. Ściany miał powyginane i zbliżone do siebie, a sufit zarwany.

Andrzej zmarszczył brwi.

– Co z promieniowaniem?

Wolf przepatrzył odczyty na jednym ze stanowisk komputerowych.

– Mniejsze niż z prętów „Santa Margaret” – stwierdził w końcu. – Niepokoi mnie co innego.

Woźniak zmarszczył brwi.

– Czyli?

– Bestyjko, daj zbliżenie na krawędź wyrwy.

W kadrze ukazał się płat metalu. Gruby na kilkanaście centymetrów brzeg był stopiony. Skanery „Jeźdźca” wykryły odkształcenia jego wewnętrznej struktury. Kiedyś musiała tu panować potworna temperatura.

– To jest pancierz – podjął Sidney. – Diabelnie masywny i diabelnie wytrzymały pancierz, jeśli wierzyć tym danym, ale nie to jest najważniejsze. Nie zastanawia was, co go mogło przebić? Patrzcie na skalę zniszczeń. Założę się, że cała zniekształcona część dysku to tak naprawdę dalszy ciąg tej wyrwy. Tylko co było na tyle potężne, żeby wyrządzić takie szkody?

– Powiem więcej – wtrącił Andrzej. – Powinniśmy się dowiedzieć, czy to, na co patrzymy, to jeszcze miasto czy już grobowiec.

Operacja "Casablanca"
Copyright © Witold Dworakowski
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Łukasz Matuszek
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

druk ISBN 978-83-7995-600-5
ebook ISBN 978-83-7995-601-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: Bożena Walewska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Łukasz Matuszek
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl